

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

P O E Z J E

TOM I.



*Warszawa*

E. WENDE I SPÓŁKA

*Kraków, S. A. Krzyżanowski*

1917









ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

# P O E Z J E

TOM I.

**Kolekcja  
Emila Kornasia**

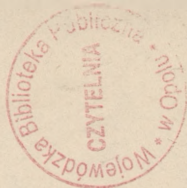


*Warszawa*

E. WENDE I SPÓŁKA

*Kraków, S. A. Krzyżanowski*

1917



CM KEK

31.9665

Zastrzega się wszelkie prawa autorskie, w szczególności prawo przekładu i przedruku. Copyright by Zdzisław Kłessczyński. Nineteen hundred seventeen.

Odbito 15 egzemplarzy niniejszej książki na papierze czerpanym holenderskim (nr. nr. 1—15) i 35 egz. na papierze czerpanym Mirkowskim (nr. nr. 16—50) w drukarni Wł. Łazarzkiego w Warszawie.

*Geprüft und freigegeb. durch die Kais. Deut. Presseverwal.  
Warschau. den 12/II 1917. T. Nr. 4486 Dr. Nr. 427.*

pisano do Księgi Akcesji

ke. D1 nr. 186 / 12 / CM

# Poezje.





*Wstęp.*



Zbiór poezyj — różnymi czasy napisanych i z różnych powstałych źródeł — zawsze prawie w wydaniu książkowym razi niejednolitością skali. Nieuchronnie chwieje się zatem książka w swej budowie, coraz to inne potrącając struny, coraz to nowe podając motywy. Zaradzić temu, tworząc a posteriori wyrozumowane cykle, bodaj, że niepodobna. Zdaje mi się też, że źle patrzy na to sztuka, gdy autor ubiera swe inwencje w mundury tytułarnych podobieństw.

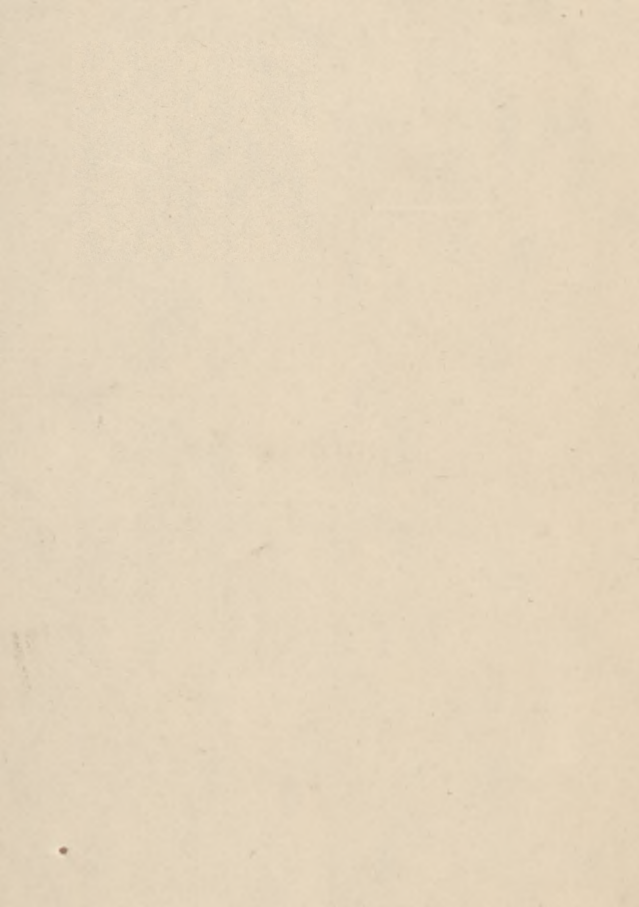
A jednak i poeta chciałby być architektem swoich natchnień...

Znamienna różnica myśli i uczuć, dzieląca poszczególne wiersze, w niniejszym tomie zawarte, niezawodnie uderzy uważnego czytelnika; różnica ta jasno tłumaczy się biegiem paru ostatnich lat, w których one wiersze pisałem. Stała się - bo prawdą tęsknota pokoleń: wczorajsi niewolnicy — niegodnymi oczami oglądamy dziś dawno czekane, upragnione narodziny naszej Wolnej Ojczyzny.

Z. K.



*Młodość.*







Na stepie, hen, wicher powiał, zamaćił  
trawy — i zczeźł.  
Dalami kędyś spływają chmur natłoczone  
tabuny —  
Miesiąć rozbłyśka klejnotem i sieje  
czerwone łuny.

— Kto naszą radość postrzeże? Kto  
naszych dopatrzy łez — ?

## II.

Wydłużonym cwałem  
Koń mój pędzi w step,  
Śmiga białym ciałem  
— I wyciąga łeb.

Jakiś kraj daleki —  
Jakaś czarów moc...  
Przymykam powieki,  
Tak lecimy w noc.

## III.

U przewozu przystanął chłop młody,  
Wodzi okiem po cichym kurhanie.  
(Nie — nie chłop to: sługa wojewody  
Zbiegł — i wolność ma na jataganie).

U przewozu stanęła dziewczyna,  
Patrzy w tuman wiosennego ranka...  
(Nie dziewczyna to, a kasztelanka —  
Pyszny łup wojenny tatarzyna).

U przewozu zatoczyłem koniem —  
Młody rycerz — patrzę w bystre tonie...  
(Ej, nie młody rycerz... dzikim błoniem  
Moich wrogów huf... po niebie gonię!)

## IV.

Pyszna panna w złocistej kolebce —  
 Kwiat rycerstwa harcuje u drzwi.  
 — Kawalerze... dam ci różę, — szepce:  
 Będiesz bronił mej dziewiczej czci!

Prosta dziewczka czerpie z krynic wodę —  
 Smukły chłopak pochwycił ją w pas.  
 — Dam już, dam ci moje usta młode,  
 Żeby jeno miesiąc... wcześniej zgasł...

Młody jeździec zajechał do kuźni,  
 Spienionego konia wartko kuć.  
 — Znów chcę lecieć! Znów mą młodość  
 czuć!  
 Sam tu! Kowal niech mi się nie spóźni!...

## V.

W cwale nie wrywać się od lęku —  
Żeby kwiaty rwać!

Wcale nie potrzeba mi lęku —  
Trwogi nie trza znać!

W dale — zaciszom bez dźwięku —  
Będę pieśni ślać!

## VI.

A jeśli, pędząc, zbyt w siodle przechyle,  
Żeby policzyć wszystkie mlecze drogi —  
Cóż mi, że łącno uronię pod nogi  
Hełm? Niech go złodziej kradnie za mną  
w tyle...

A jeśli, pędząc, zbyt uniosę głowy,  
Żeby oczyma powyzywać gwiazdy —  
Cóż mi, że podczas takiej cudnej jazdy  
Koń mój pogubi złociste podkowy?...



O ŚWICIE.

## I.

Wstaniesz świtanem, jeszcze prawie  
nim się słoneczna zapali pochodnia,  
dodnia,

Spojrzysz do wschodu, na uśpione góry,  
nim zrzucą z siebie pomrocne kaptury.

Stąpisz ścieżkami, kędy cień się chłodzi,  
gdzie nikt nie mieszka i gdzie nikt nie  
chodzi.

Będiesz się pieścił porankiem w radości,  
nim się ciekawy dzień tu nie rozgości.

Rudym dziewczynom z leśnej gęstwy —  
co się od ptaków o świtanu dowiesz,  
powiesz,

Postrzeżesz jedną, jak chwilę się ślania,  
to znów ucieka, śmigła, niby łania.

Całą ją zwiążesz pieszczotą gorącą  
i na swej piersi będziesz trzymał —  
drżącą...

Gdy się nad wami leśne schylą wieńce,  
weźmiesz jej pierwsze, dziewicze rumieńce.

A kiedy będzie jej rumieniec znikał,  
weźmiesz ją całą: — którą nikt nie tykał.

Jeśli ci we krwi coś szalem zakrąży,  
to będzie odwet jej miłosnej ciąży...

Jeśli ci w sercu coś po niej zostanie,  
to będzie piękne, jak pierwsze świtanie.

. . . . .  
Jeśli ci w duszy coś z cudu niezgaśnie, —  
to będzie może twoja młodość właśnie?



## II.

Na cichych jezior omszonym kryształe  
mgieł się jedwabne podniosą woale.

Nad rozjaśnione, obudzone regle,  
popłyną lekko, chyżym lotem, biegle...

Zaróżowione, perliste kaskady  
wybuchną śmiechem, jak młode najady.

Po sypkich żlebach, które legły w walce,  
słońce przesunie swe złociste palce.

Będą się w rosach pławić ciemne smreki,  
nim południowej nie zaznają spieki.

W szmer melodyjny, w rytm rozkołysany,  
będą się tulić do siebie giencjany.

Nim zórz się w niebie nie pogubią mrzonki,  
ockną się jaskry i liljowe dzwonki.

Zaś górskie turnie zapatrzą swe szczyty  
w przetkane srebrem, dalekie błękity.

Tedy cię radość obejmie skrzydlata,  
żeś szczęśliw z siebie, a nie zaś ze świata.

Pokochasz rzeczy, co nigdy nie zwiodły:  
pokorne kwiaty i wyniosłe jodły.

Pokochasz źródła w kielichu dolinnym,  
uczuciem prostym i bardzo dziecinnym.

Aż myśl ci taka przyjdzie może w zwieśnie:

— jam przecież marzył kiedyś o tym  
we śnie...





## II.

*Poeta i mgła.*

— Dolina życia!...

Tutaj skierujemy kroki,  
gdzie ros nocnych najwięcej i najwięcej  
cienia.  
Pójdziemy, Mgło, w jar stromy, tajemny,  
szeroki —  
nie nadąży za nami ciężki krok cierpienia!  
Ty wiesz, Mgło, jak dalekie miasta  
czworoboki  
w więziennych murach tłoczą gorące  
pragnienia,  
jak śród pełnego lata wędnie zdrowy  
liść —  
i serce ludzkie wędnie, bo nie wie, gdzie  
iść...

— Dolina życia!

Tutaj zostaniemy sami,  
gdzie najmocniej, najmłodniej pachnie  
kwiat łąkowy.





„Niebieski ogień nie ima się krzów —  
„w wyniosłe drzewa godzi grotu stal.  
„Gdy piorun spali przędzywo twych snów,  
„spłoniesz pochodnią. Łuna—pójdzie w dal!

„Na cmentarzyskach zapomnianych trun  
„tęsknota twoja zbuduje ci krzyż,  
„i serce twoje podniesie się wzwyż —  
„i wici pójda z serdecznych twych łun!“



WIEŚĆ.

Zaś najpierwszy mój bieg  
 na północny szedł brzeg,  
 kędy w mórz szumnej pustce: wiatr —  
gazda.

Gdym nad falą był stał,  
 Solą fal pryskał wał —  
 jakże cudna po fali jest jazda!  
 Poco falom ma wieść?  
 muszę dalej ją nieść —  
 Oh — hej!

W biegu drugim mój siąg  
 do rozśmianych wiódł łąk,  
 kędy kwiatów się dywan zaciszni...  
 Jakże cudnym jest kraj,  
 gdzie raduje się maj,  
 rodna ziemia rozkwitem się pyszni.  
 Poco łąkom ma wieść?  
 muszę dalej ją nieść —  
 Oh — hej!

Szedł zaś trzeci mój gon  
do alpejskich, hen, stron,  
kędy w skałach olbrzymów są szańce.  
Jakże mocnym był Bóg,  
Który wirchom do nóg  
piarżnych źlebow rozpuścił kagańce!  
Poco góróm ma wieść? —  
muszę dalej ją nieść...  
Oh — hej!...

Był ostatni mój bieg,  
gdzie się pól dzierzga ścieg,  
polna grusza po miedzach się karli...  
Kędy dymno wśród chat,  
kędy każdy mi brat:  
społem żywi i społem umarli.

. . . . .  
Polsce rzekłem mą wieść...  
Polsce miałem ją nieść.  
— Hej!

*L i s t y.*

## I.

A w Tatrach teraz słońce gra —  
stalaktytowe rwą się pęta,  
Dunajcem płynie sina kra.

A w Tatrach teraz słońce gra,  
oddechów radość bieży z hal...  
i wiosna się objawia święta  
i niebo błyszczący, niby stal.

...A w Tatrach śniegi się dziś topią,  
potoków srebrna, żywa nić  
młodego życia niesie wić.

Zimowej śmierci się wyprosił  
smrekowy zagaj nad regłami:  
wiewa cienkimi gałązkami  
nad trupem sędziwego smreka,  
co go lawiny pomiot skosił.

...A w Tatrach młoda wieść nie czeka,  
 jeno oblata, jakby wiatr —  
 po rozjaśnionych, szklistych dalach,  
 po zagubionych, cichych halach —  
 po cmentarzyskach struchłych wiatr.

...Jakże ci, wiosno, nie dać wiary,  
 kiedy już hen, od górskich pował,  
 świat krokusami rozliljował?

...jakże ci, wiosno, nie iść w pary,  
 w taniec hulany, kołysany,  
 gdy z gór pobiegła wieść szeroko,  
 że się ozwarło Morskie Oko,  
 że się pokryły kędyś w góry  
 zimowe węże i jaszczury —  
 aż do bezdennych w skałach studni.

...Jakże ci, wiosno, nie dać wiary,  
 gdy halny wiatr wirchami dudni?

. . . . .  
 Rozrzucisz swoje panowania  
 hen, od Murania do Krywania.

Junacze pošlesz swe rozjazdy  
 aż po liptowskie w niżu gazdy.

Pysypiesz wichrem kamień mialki  
w spłoszony nurt lecącej Białki.

Poderwiesz chmury, jak z obucha,  
i rzucisz kłęb aż do Garłucha. —

Zaś twój rycerny, hardy wał  
na Krzesanicy będzie stal!

## II.

...Wiosna tu przyszła potajemnie,  
 Stała na rozkwicie dni:  
 „O, miasto! Weźmiesz radość ze mnie —  
 oddaj mi klucze twoich drzwi!“

Lecz miasto zimne, miasto złe —  
 nie puszcza wiosny w domy swe.

Tedy samotna, niewołana,  
 wychodzi zwolna na rozłogi,  
 rozwija wiotki tuman zrana  
 i sieje ludziom kwiat pod nogi —

Zaś o wieczornych, sennych chłodach,  
 całuje drzewa po ogrodach.

. . . . .  
 Nad Newą, gdy zapada słońce,  
 mieni się kopuł złoty kask.  
 Het, za widome miasta końce  
 lśni przedwieczorny, mocny blask —

i zda się, że aż w nieb tęsknotę  
biją iglice gmachów złote.

Granitem tętnią korowody,  
ulicą ciągnie czarny tłum —  
jakże tu dziwnie wiosny gody  
zacichły w szept tajemnych dum,  
gdy wciąż, jak dawniej, tak po latach  
zawisa tęskny wzrok — na kratach.

Niemasz wesela i radości,  
choć wszędzie, za krajami — święto.  
Tutaj się uśmiech nie rozgości  
i radość umrze — nieockniętą.

Oh, jakże dziwnie tęsknią pąki  
za szmaragdami miękkiej łąki...

Brzozy na wyspach kwitną same:  
(minie ich młodość, niepoznana) —  
— nie wyjdzie nikt przed okien ramę  
i nikt nie będzie śpiewał zrana —

i spłonie w ciszy, tak, jak codnia,  
nieopisana zórz pochodnia...



## III.

— Dokąd mam pisać wam, — i poco?  
Dalecy moi przyjaciele?  
U was tam żagle już łopocą,  
z ptakami radzą minestrele —

niebawem ruszy orszak mężny  
w doroczny, szumny lot okrężny.

Kiedy zapłaczą kiście bzowe,  
zbudzą się stare klawikordy —  
pożeglujecie gdzieś, na fjordy,  
albo na szczyty z mgieł różowe —

będą was żegnać, jak w zwyczaju,  
białe panienki w waszym kraju...

Kiedy wieczorem usną sady,  
z za mgieł wyłoni się Selena,  
po waszych dworach, jak kwiat blady,  
muzyka ocknie się Szopena —

napoły smutna — i radosna —  
 jak zamysłona polska wiosna...

. . . . .  
 Nie zrozumiecie, ile znaczy  
 te trochę mil, co nas rozdziela;  
 jak tutaj milknie głos junaczy  
 i jak fałszywie gra kapela,

i jak tu ludzi wiosny fala  
 prowadzi często... do szpitala.

Tysiące szaleństw, bogactw tyleż,  
 oślepiający blask pieniędzy —  
 ileż tu bólu! Cierpień ileż —  
 i jak dziwacznie dużo nędzy —

śpiewają w mieście wiosny smutki  
 kochanki, albo prostytutki...

A niebo coraz lazurowsze,  
 a noce tutaj coraz bielsze,  
 kiedy przychodzą sny najśmielsze —  
 śni ci się... Litwa, lub Mazowsze.

I tęsknią sobie bez pamięci  
 i dependenci — i studenci.

Wiosna. Z przepychów i ogromów,  
z tego wszystkiego, co się świeci,  
— uciekać!... chcemy już do domów,  
zupełnie, niby małe dzieci.

Marzymy, w taką ciszę nocną,  
jak u nas kwiaty pachną.. mocno...

*Sonety.*

## WOLNOŚĆ.

W dusznych cieplarniach namiętności  
 gdzie kwitną pyszne, aksamitne kwiaty,  
 mam świat zaklęty, upojnie bogaty —  
 tam się me serce truciznami zbroi.

W pachnącej ciszy, gdzie się miłość roi,  
 gdzie baśń storczyków popieli szkarłaty,  
 mam kryształowe, tęczowe pryzmaty,  
 kędy się żądza moja niepokoï.

Lecz wśród storczyków w mej dusznej  
 cieplarni  
 żyją rycerze posepni i czarni,  
 krwawych mych łodzi osadne wikingi...

Im to wydałem mych dawnych rycerzy:  
 topią dziś srebro z ich białych pancerzy  
 i na sztylety kuja — mieczów klingi.

Dwa wilki, jednym pojmane żelazem,  
trzymam—od psiarni ogłuszone wrzasku.  
W jednym je wzięto mocnym samotrzasku  
i w jednej klatce umieszczono razem.

Chwycone z jaskiń, przywalonych głazem,  
dwa lwy mam—króle pustynnego piasku:  
skłute żegadłem, oślepte od blasku,  
nauczę służby surowcowym razem.

W klatkach więziennych mogę spętać  
stałą  
tych, co się siłą swą królewską chwałą,  
i te, co swoją królewskością padły!..

Tylko mi orła braknie w mym zwierzyńcu,  
bo się gdzieś zgubił na niebios gościńcu,  
nim jeszcze gwiazdy zaranne—poblady!..

Dzisiaj kazałem przynieść wszystkie  
klucze,  
jakiebaż wrota zamykają szczelnie.  
Gdy noc zapadnie, wezmę do rąk kielnię,  
a zaś kluczami me sługi objucę.

Gdy mi przysięgną sumienia hajducze,  
będziem murować przez noc całą dzielnie,  
aż zamurujem, znużeni śmiertelnie,  
klucze — w mur taki, że go grom nie  
stłucze.

Spokojny odtąd — będę miał władanie  
nad kwiatów żądzą—i zwierząt szaleństwy.  
Z pogardą odtąd będę patrzył na nie.

Jeślibym kiedy, poruszon męczeństwy,  
chciał mur otworzyć, niby tajną ranę —  
w czas mnie wstrzymają dusze zaprzędane!

Jest cisza wkoło. Tylko szmery słyhać.  
 Ale to deszcze się jeno zaniosły,  
 płacząc na dom mój, potężnie wyrosły...  
 ...To tylko deszcze, co nie chcą ucichać.

Chce mi się krwawo śród nocy uśmiechać,  
 bo wiem, że wkrótce przyjdą do mnie  
 które upadną przed próg mój wyniosły<sup>posły,</sup>  
 i będą jęczeć głucho, albo wzdychać...

Ja wiem!

Wy chcecie przekupić mi strażę,  
 zaś mnie samego nauczyć pokory,  
 by mi przez okna patrzyły upiory —?

Zawołam sługi i posły znieważę!  
 Zeszczuję psami — wygonię na drogę —!

— — — — —  
 Och, czemuż na was lwów spuścić nie  
 mogę!...



Patrzę na morze z basztowej komnaty —  
szukam oczyma po wodnym bezmiarze,  
rychło-ż wyσιάdą na ląd mój bogaty  
zwołani z krajow dalekich murarze?

Ścian potrzebuję. Niech wzmocnią się  
kraty.

Cegieł tysiące układać im każę.  
Łańcuchem wkoło rozstawię me czaty.  
Uderzą zbiry, gdy skończą żeglarze!

Pusto na morzu. Mijają się fale,  
biją pod zamku mego twarde ściany  
i rozpryskują się w tysiączne piany...

Nikt nie przybywa przez szumiące dale—  
Gorze!

— Gdzie sternik, co żagle prowadził?

— — — — —

Wiem, żem zdradzony, choć nikt mnie  
nie zdradził...

Złamał się bałwan w kamiennym bulwarku,  
 zalał portowe, wysokie podmurze...  
 Fale spiętrzone prowadzą mi burzę  
 i burzą szumią drzewa w moim parku!

Leci wichura na grzywnych pian karku,  
 kołują mewy, moje skalne stróże,  
 chmury szaleją gościńcem na górze —  
 księżyc otrząsa stargany płaszcz z barku...

Hej!

Kto mi z niebem śmiał zmówić  
 odmęty?

Gdzie huczą fale, jak potężne żarna,  
 tam noc zalega oślepla i czarna...

— Gdzie są okręty moje? Gdzie okręty?!  
 Próżno zapalam nadbrzeżne latarnie:  
 Śmierć się z nich śmieje — i hula  
 bezkarnie.

Wypuszczę wilki me — i lwy wypuszczę!  
Niech biegną — niech się trą ścierwem  
niesytem —  
uwolnię rozbestwioną, krwawą tłuszczę —  
bez kluczy gmach rozwalę — dynamitem!

Na sprzysiężone sługi — lwy poduszczę,  
niech gonią kurytarzy, bram korytem,  
niech czarna ich posoka świat zapluszcze,  
niech zamek mój napelni się skowytem!

Oblędem stróżowania myśl zatrujęm  
i serce uwięziłem w tym oblędzie...  
Co kiedyś miało być — niech dzisiaj będzie!

Szaleniec, który me państwo zakułem,  
wysyłam dzieci krwi — bojowe gońce.  
Niechaj przyniosą mi na tarczach —  
słońce!

„CARMEN“ ZULOAGI.

Pejzaż podgórski, spieczony i nagi,  
mimo pozornie niewzruszone brzegi,  
dzierzga powoli swe znużone ściegi  
dokoła dziwnej Carmen Zuloagi.

Ona — plan pierwszy. Oparta na dłoni,  
głowa w nieznany gdzieś bezmiar  
wpatrzona,  
...gdzie może właśnie jej kochanek kona —  
...gdzie może właśnie espady pieśń  
dzwoni...

Niemłoda Carmen niema nic z kochanek,  
wyczarowanych z hiszpańskiego Ghetta —  
niemłoda Carmen niema nic z Bizeta...

U stóp jej — (myślę) — uśmiechnięty ranek  
ściera ślad lotny dziewiczych uniesień  
i pisze słowo przedostatnie: jesień.

## W GROCIE.

W grocie, pod szmaragdowym stalagmów  
 sklepieniem,  
 gdzie się cisza kołysze pod kopułą pawią,  
 tajemnicze wodnice nurzają i pławią  
 swe ciała, wypieszczone fal morskich  
 pragnieniem.

W nawiszarze ogromnym, gdzie  
 z wieczystym cieniem  
 szerokich mórz rycerze — delfiny — nie  
 wrzawiają,  
 gdzie ostre strzały słońca się oczom nie  
 jawiają —  
 tajemnicze wodnice igrają... z milczeniem.

Spadają chyżym ruchem w pomrocne  
 szczeliny,  
 błyskają opalami kolorowej łuski,  
 budzą ciche szelesty i spłoszone pluski.  
 W najgłębszym mroku groty czaji się  
 jedyny,  
 ostatni, siwy wodnik, latami zakrzeplony —  
 i słucha głosów wodnic, bez ruchu, ośleplony...

ZMIERZCH.

Zmierzch rozpościera aksamitne skrzydła  
 nad ciemnym parkiem, którego gąszcz  
stary  
 chłonie powoli faliste opary,  
 poprzez sadzawek płynące stawidła.

Niby ptak wielki o wieczornej porze,  
 na cichych, miękkich się wazący lotkach—  
 — zmierzch krąży wolno po wiejskich  
opłotkach,  
 po modrzewiowym, pochylonym dworze.

Od stęchłych stawów, zaciągniętych rżesą,  
 zatacza cichym, bezszelestnym lotem;  
 od bagien, co się lekkim dreszczem trzęsą...

sunie przez szpaler grabowy, a potem,  
 gdy głosy ludzkie usłyszy w pobliżu —  
 zwisa, jak całun, na rozstajnym krzyżu...



CHIMERA.

Zakuty w kamień okruch bezrozumu,  
napoły maska, napoły dziwadło,  
hen—nad witraży kaskadą pobladła  
zastygl—i duma w strzelistościach tumu.

Dołem rwie życie. Czarne mrowie tłumu  
wiedzie bój krwawy—gonitwę zajadłą...—  
Raz—w—raz opada miazdzące kowadło  
i czyni cichość wśród ludzkiego szumu.

Zbrodnia i cnota zdobywają palmy,  
święcą tryumfy przelotnej minuty  
i schną i więdną, jak kościelne psalmy.

Świadoma treści czystej—i zatrutej—  
wieczyście żywa i wieczyście senna,  
spogląda na nie Chimera kamienna.







## ZŁOTY KIELICH POETY.

Kielich poety, wyrzeźbiony w złocie,  
z którego twórca pijał napój marzeń,  
drogą życiowych, pospolitych zdarzeń,  
dziś w muzealnej spoczywa gablocie.

Cudownych szaleństw, jasnowidzeń krocie,  
najżywsze tęcze sztuki przeobrażeń,  
w istnym orkanie duchowych rozżarzeń  
poeta czerpał w tym oto klejnocie...

Potomnym rzeszom wieści brać pisząca,  
(wierna pamięci, z należnym pjetyzmem)—  
że mistrz zmarł młodo, zmiecion  
katakлизmem...

Obok tabliczka jest objaśniająca:  
„— Odszedł artysta, przez nas ubóstwiany,  
oto jest jego kielich *pożłacany*“.

L A U R Y.

O, laury, laury! Ileście wieńczyły  
 czoł, z których właśnie spłynął twórczy  
 pot!

Ileście, laury, czaru przysporzyły  
 tym, których raził Apolina grot!

O, laury, laury! Wyście ubóstwiły  
 niejeden piękny i wyniosły lot —  
 kto umiał zgłuszyć własnej sławy grzmot,  
 Boskiej, zaiste, musiał bywać siły!

O, laury, laury! Z poczwarek — motyle,  
 dyski słoneczne — z marnych wyszły szarug,  
 zasię uśmiechy wieczne — z niepokojów.

Czemże jesteście wy — jadów nargile —  
 skoro was kradną: paw — jastrząb —  
 i raróg —  
 po wiek — i wieków wiek: — ciury herojów!

*Gilotyna.*

## PETRUS.

### I.

Zarzucał sieci Piotr, nim poszedł z Panem.  
Gdy z Panem poszedł Piotr — otrzymał  
klucze.

«— Piotrze — powiedział Pan: — Skał czas  
nie stłucze,

na ziemskiej skale bądź mym kasztelanem!»

Jako Pan rzekł, tak Piotr wykonał wiernie,  
zbudował wielki dom — kościół ciosowy,  
pochylił do swych stóp królewskie głowy  
i rządząc—słał na świat róże i ciernie.

Lecz jako kwiatów kwiat uschnie

w spiekotę,

przemiął brzasku czas, szły sprawy nowe:  
kasztelan na świat słał ciernie stalowe,  
a zasię kwiaty róż uczynił — złote.

A choć nie taki był wyrok na górze —  
jeno prostaków lud, choć byli wierni,  
otrzymał wszystek pęk piotrowych cierni:  
— królewskie dwory zaś zabrały róże...



## III.

Choć rozkazywał Pan, by czystym został—  
kasztelan posiał grzech w odwiecznym  
mieście;  
gasił swój starczy żar o lzy niewieście  
i śpiąc wśród nagich ciał — lubieżcom  
prostał.  
Tako żył rządca ów, a zły kolator,  
kupcząc za chwały błam i za czerwienie  
nieprawych swoich cór pierwsze  
rumienie —  
jak handlarz, celnik on, jako mercator!



## IV.

I przyszedł dzień, po setkach lat posiewu,  
 że wreszcie Pan, syt zbrodniczości łotra,  
 zstąpił na plac, gdzie jest domostwo Piotra,  
 i wznosił swą dłoń — i zatrzęsł nią od  
 gniewu.

W podstawach swych wzdrygnął się dom  
 Piotrowy —  
 przeląkł się lud — zawrzały niewolniki —  
 Pan rzucił grom w sklepienie Basiliki —  
 — i runął gmach od włóczni Chrystusowej!  
 Od głębin mórz wezbrała mętna piana,  
 do głębi mórz faluje toń wzburzona — —  
 zawołał Pan. Wichurą jęły łona...  
 To cały świat powtórzył okrzyk Pana:—  
 «— PETRU...!»

— Jam jest.

Z orszaku towarzyszy  
 wystąpił Piotr. Miał w oczach błyskawice.  
 Płonący wzrok utopił w Pańskie lice  
 i został tak. I zmaliał świat śród ciszy.



Tak wielką rzecz dałeś mi, Panie, w ręce,  
 że, by jej strzedz — musiałem stworzyć  
 państwo,

by państwa strzedz — zbroiłem me  
 kapłaństwo,  
 zaś broniąc się—paliłem tłumy w męce!

Tak wielką rzecz pocoś mi, Panie, dawał?  
 Tyś wiedział wszak, jako się ludzkość rządzi,  
 Tyś wiedział wszak, jako Twa ziemia błądzi,  
 i jak się żre o złotej blachy kawał!

Pierwszeństwo me starczyło za męczeństwo,  
 za Państwo Twe—starczyło kasztelaństwo;  
 z złocistych blach stworzyłem Tjary  
 państwo,

za blachą tą runęło człowieczeństwo!  
 Gdzież jest Twój krzyż? Czy Ty go widzisz,  
 Panie?

Otośmy są: kollegjum kardynałów,  
 otośmy są: szeregi pastorałów,  
 chrześcijanie — lwy — i ciury —  
 chrześcijanie...

— Gdzie jesteś Ty?!

Rzekł Pan:

— «ZBLUŻNIŁEŚ MARNIE.  
 KRÓLESTWO MOJE NIE JEST Z TEGO  
 ŚWIATA.

UWIODŁY CIĘ WŁADANIA TWEGO LATA,  
ZDRADZIŁEŚ DZIŚ PASTERZA —

I OWCZARNIĘ!>

Rzekł Piotr:

— Mój Pan. Mój Bóg. Poznałem Pana—  
aliści, powiedz Panie, gdzieś bywał,  
czemuś srogim lwom kły powyrywał,  
a wojskom wielkim swym ugiął kolana—?  
Panie... My mieli iść we wszystkie kraje,  
takeśmy poszli wszak Twoim rozkazem,  
zawędrowalim wdał — i bylim razem,  
chwalący imię Twe, co sił nam staje.  
I życie kładlim tam, pokorne sługi,  
dający Bogu cześć—i jedno imię,  
aż wskrzesiliśmy Cię do życia w Rzymie...  
Odtąd panuje tu nam Chrystus II-gi.  
Chrystus panuje nam — poznałem Ciebie,  
Tyś pierwszy Chrystus jest—ten z Galileji,  
dawny żydowski król, Xiążę nadziei...  
Wielki chrześcijański Bóg — kędyś, na  
niebie...

Rządy na ziemi dziś są rzeczywiste:

Chrystus panuje nam: ma morza, lądy —  
nie spieraj, Boże, się o jego sądy.

W imię Chrystusa więc — odejdz stąd,  
Chryste!“

I odszedł w ciszy Pan.

A lud chrześcijański  
milczącym tłumem szedł w ciemne kaplice—  
bo właśnie jęły bić rzymskie dzwonnice  
odwieczny pacierz swój na Anioł Pański...



Patrzą się z okien wkół piękne madonny,  
zakwitły krasą lic balkony rynku.—  
Miasto wyległo. Sąd. Rajcy w ordynku.  
Huk armat. Śpiżu dzwon. Pomruk  
pokłonny.

Nie tak się iskrzy w noc miesiąc na nowiu,  
jako xiążęca stal śród sukien wełni —  
i nie tak płonie dysk miesięcznej pełni,  
jako xiążęca pierś we złotogłowi.

A właśnie wchodzą już w katedry stropy...  
Westchnęły z głębi naw srebrne organy,  
przez witraż słońce śle blasków synkopy  
na damy w głębiach łóż — i cortegiany.

Tłok kardynalskich głów zapełnia stalle —  
(Tjary odwieczna baśń pęta ich dusze)—  
pysznią się w sławie swej Medyceusze  
i pysznie zda się brzmieć wołanie:—  
„Palle!“

Renesansowy śnie! Dzierzgany złotem,  
strojny w purpurę zórz, wytkany z żarów—  
jak pięknieś umiał żyć mieczów łoskotem  
na cmentarzysku krwi rzymskich Cezarów..!

Renesansowy śnie..!

Twoja vendetta  
długo pieściła dreszcz, co zmysły drażni,  
nim powaliła w proch monarszej kaźni  
— głowę Capeta!



KRÓLEWSKA GWARDJA.

Dziwnie kochałam kolory niebieskie —  
tam, kędy stały szwajcary królewskie,  
wybiegał często z tęsknotą mój wzrok...

Kiedy patrzyłam na modre kłęty,  
chciałam im wyznać, że serce Odetty  
z gwardją szwajcarów podąża krok —  
w krok.

Dziwnie wielbiłam ich srebrne rapiery:  
tam, kędy stała, ta młódź — oficery —  
nieraz w pustocie spotkała się stal!

Serce mi biło, że młodość tak hula,  
krew wylewając, potrzebną dla króla...  
— Krwi waszej młodej nie było-ż wam  
żal?

Dziwnie lubiałam ich żywe rozmowy,  
gdy, siląc głos swój na stentor marsowy,  
w powagę chcieli ubierać swój wiek. —

Jakże się czuło tę młodość ich wartką,  
gotową lecieć za wstążką, za kartką,  
choćby życie kosztować miał bieg!

Pamiętam wiosny słoneczne poranki,  
gdy przez królewskie przechodząc  
krużganki,  
młodych szwajcarów zmieniała się straż.—

Pamiętam hasła, tajemnie szeptane,  
pamiętam białe piumaże rozwiane,  
— radością życia śmiejącą się twarz...

Pamiętam wszystko, kochane dzieciaki:  
miłosnych westchnień porywy—i znaki—  
godziny szału, cudowne, jak sen...

Pamiętam wasze milczące szeregi,  
kiedy szła biała—oh, bielsza, niż śniegi,  
przez amfiladę sal—Madame la Reine...

. . . . .  
. . . . .  
Widzę was jeszcze przy okiennej wnęce,  
gdy biedny, słaby król załamał ręce,  
a z dołu—z tłuszczy— huknął podły strzał—

Na waszych twarzach były wówczas cienie,  
dzisiaj rozumiem, że wierne milczenie  
znaczyło więcej, niż okrzyków szal!

Potym... Nie pomnę, co się jeszcze działo...  
Stu na jednego?.. Was było zamało...  
Iluż was stało u zamkniętych drzwi..?

Nie — ! Dosyć..! Dosyć — co się ze mną  
dzieje — —  
Kto stoi przy mnie?.. Czy się tu ktoś  
śmieje — —  
— skąd ta kałuża takiej świeżej krwi..?

. . . . .  
. . . . .

Dziwnie kochałam... kolory... niebieskie...  
tam... kędy stały szwajcary... królewskie..  
wybiegał często z tęsknotą mój wzrok...

Takbym dziś chciała jednemu dług  
zwrócić..!  
Całus... Całusa od ust chcę mu rzucić...  
lecz twarzy jego nie widzę przez mrok...

KARMAŃJOLA.

Wyjdźmy, siostry, na ulice —  
cosik się tam stało...

Rozbiegały się wilczyce,  
miasto oszalało!

Włoką druhy, bracia mili,  
Margrabinę białą—!

Zatoczymy, lube siostry,  
tańczące koło — —  
domacamy się jej serca  
pod tą piersią gołą.

Chłopcy z nami, my z chłopcami...  
— Mów, czy ci tak zdrowo —?

(— Niech, jej który zatka usta  
chustką koronkową!)

Chwyćcie sukę na pętlicę,  
pokażcie ją miastu.

— Pewnie spało z tobą wczora  
diuków ze dwunastu — —?

Pójdź-że, biała gołąbeczko,  
 pójdź, arystokratko,  
 zamień uścisk, zamień całus  
 z siostrzyczką gamratką...

A możeś ty, gołąbeczko,  
 z naszych tańców chora?  
 Już nam tańczyć niedaleczko,  
 suko monseńjora — —  
 Puści z szyjki krwawe mleczko  
 maszynka doktora!

Ha—! podoba się wam, chłopcy,  
 giezłeczko podwiki?  
 Poszli precz, paryskie łotry,  
 precz! — pochutne żbiki!  
 Suchą piersią niańczyłyśmy  
 zgłodzone szczenięta —.  
 Wyniańczymy ją do końca,  
 jak inne panięta!

— Włóż jej który w te zanadrze  
 pręt... królewskiej lilji — —  
 — Patrzcie, patrzcie..! Mdleje z wstydu  
 kochanka Bastylji!

. . . . .

. . . . .

Płaczmy, siostry, nad umarłą,  
tańczmy dzisiaj w kole —  
niechaj śpiewa z nami miasto  
w skrzepach krwi, na całe gardło,  
świętą Karmańjole...!

*Książę.*

*Wiersz, odznaczony I-szą  
nagrodą na konkursie Ty-  
godnika Ilustrowanego.*



Patrz!

Przez sto dróg, jak sto potoków, —  
w otoku kurzów, w złotej rdzy,  
jak obłok wielki: — sto obłoków! —  
suną stalowe, jasne skry;  
krańcami wiodą swe widety,  
na horyzontu wielki krąg  
półmiljonowa ciżba rąk  
dźwiga szabliska i bagnety.  
A dołem huczy, dołem drży  
w szalonej mocy, w krwawej tęży  
nabrzmiały wał ciał i uprzęży,  
poligon armat ciężki, zły.  
Zmęczona śmierć z spiżowych paszcz,  
jak z czarnej wychyniona studni,  
spogląda dziwnie uśmiechnięta.  
Nad wszystkim wisi kurzu płaszcz,  
nad wszystkim pogłos głuchy dudni  
i wola tego, co pamięta.

Idą szeregi przed się w kraj:  
 wiarusy stare i panięta.  
 Karmieni Europy krwią,  
 Italji słońcem, bitew rdzą,  
 sprzęgnięci obłąkańczą władzą,  
 ogromny łańcuch swój prowadzą:  
 żołnierze, gwardja, bohaterzy,  
 szereg wyniosły, szereg twardy,  
 królowie, diuki i bastardy,  
 wspaniałe, nieugięte lwy!

Szaleńcy!

Chamstwo. Nic nie warte,  
 póki nie spojrzy na nie — On:  
 Bonaparte.

— Książę. Osłonisz odwrót Armji.  
 — Sire.

(Hejże! Niema dzisiaj śpiewki  
 kiedy ułańskie chorągiewki  
 poległy w polu, w bitwy czas...)

Książę osłoni odwrót Armji.  
 Lwy -- lwia się krwią dosyta karmi —  
 gdzie-bo nie posyłano nas!?

Och! mundur wodza przed wylotem  
kul. Żołnierz ściele się pokotem...  
Hej! Książę polskiej kawalerji,  
w nieporównanej galanterji  
poszedłeś bić się — jeszcze raz!

Książę!

Fortuna się nie łasi...  
Zdradzą Francuzi. Zdradzą Sasi.  
Ty — byłeś ty l k o Polski synem:  
sprzysięgłeś się z Korsykaninem,  
do końca będziesz wiernie stać.

Książę!

Daleko Polska Twa...  
Kiedyś — — — złocisty królewiczu,  
bawiłeś strojne grono dam.  
Pod Blachą byłeś sam, paniczu,  
swój polski sen o polskim zniczu  
w puściźnie przekazałeś nam.  
Sam byłeś, gdy różane roje  
patrzyły w piękne oczy Twoje,  
sam byłeś, kiedy Amor blady  
pierzchł o poranku niepowrotnie,  
bo go przeraził słońca błysk  
na rękowości Twojej szpady.

Książę!

Daleko Polska Twa.

Nim los nam sztandar w strzepy potnie,  
jutro przyniesie krwawy zysk.

Ty potrafiłeś stać do końca.

Książę pozaczył mocne ściegi  
krwią. Polak dziś ich nie rozwiąże.

Puchar wypełnił się po brzegi.

Nie będziem pisać Ci elegji,

Książę!

Tyś między polskie bohaterzy  
wszedł — i zostaniesz niepowrotnie.

Nie będzie tułać się samotnie  
wiatr, co nam powiał od Elstery.

To, co wiatr przyniósł w swoim szumie,  
pokocha każdy i zrozumie.

Książę!

Bliższą dziś Polska Twa.

Z dalekich krajów i wylądów,  
gdy się orłowi ptacy zbiegą,  
powstaną stróże, którzy strzegą  
Sądów.

Obudzą zmarłe Polski woje,  
powiedzą gromko imię Twoje:

Iżeś niewolne zmazał błędy,  
iżeś wyśpiewał hymn uniesień,  
iżeś, rycerzu doskonały,  
godzien najwyższej wieków chwały:

Legiendy!

*Polscy strzelcy.*

W czasie tym właśnie rozplakana jesień  
zapadła słotą na rozstaje dróg.

W mgle suchotniczej skonał złoty  
wrzesień,  
blady październik przestąpił przez próg...  
W ciszach uspione ogrody się pieszcza,  
złotym listowiem usypane wgłąb, —  
zmierzchem, melodją pomroki złowieszczą,  
umarłe liście w alejach szeleszcza.

Po pustych polach przewiewa już ziab:  
czaji się w rowach przydrożnych, po  
bramach —  
rankiem, na astrów powarzonych błamach  
białego szronu znamię żłobi wgłąb.

Kwiat, chłodem ścięty, przywiędły się  
słania,  
wygląda słońca i chyli się nisko,  
gdy nazbyt późno nad ziemi kołyską  
skrwawione słońca wylega kolisko  
w łunie zmartwiałych blasków pożegnania.

Wsie, zagubione w mateczniku błotnym,  
 chałupy, nisko rozsiadłe nad strugą —  
 wszystko usnęło w nawiszarze słotnym  
 tuląc się we mgle i płacząc szarugą.

Pół-ślepe okna, patrzące w cień sadu,  
 cicho się szlochcem deszczowym zaniósły,  
 jakby nie wierząc, zali przyjdą posły,  
 zali się znajdą wzajemnie u śladu,  
 pośród polskiego tajni listopada...

\*

\*

\*

W czasie tym właśnie trzy wojska  
 oddziały  
 zeszyły się nocą u trzech polnych dróg.  
 Punktem ich zbornym był słomiany stóg,  
 skrzywiony mocno północną swą stroną.—  
 Ze stogu ziarna już dawno zmlócono.  
 Dowódcą pierwszym był pułkownik Jan.  
 Prowadził z sobą siłę sześciu koni.  
 Dowódcą drugim był pułkownik Dan —  
 przewodził sześcią chłopów pieszej broni.  
 Dowódcą trzecim, polowej armaty,



był człek, noszący imię Naczelnika —  
— Tadeusz.

Zanim odprzęgnął jaszczyka,  
ustawił frontem swe jedyne działo,  
w stronę, gdzie lodem od północy wiało.  
Nim się uścisnął serdecznie z tamtymi,  
wpierw salulował sam-siedem przed nimi.

Witał się pierwszy:

— „Czołem, bracia moi!  
Podług umowy, przebiłem się cały.  
Zmyliłem czaty granicznej postoji,  
uszedłem kulom, co po polu wiały.  
Aniśmy mali, ani zgoła wielcy —  
„Zawsze to samo“ — Odzew: „Polscy  
Strzelcy“.

Ozwał się drugi:

— „Czołem, towarzysze!  
Otom jest z wami, jak brzmiała umowa.  
Przeszedłem lasem, przez gęste komysze,  
patrol nasz tropił — lecz drużyna zdrowa.  
Aniśmy mali, ani zgoła wielcy —  
„Zawsze to samo.“ — Odzew: „Polscy  
Strzelcy.“

Witał się trzeci:

— „Czołem, Pochwalony!  
 Zdrowy i całki przywiodłem wam działo—  
 Siła nam męki toto kosztowało,  
 zanim się razem przebilim w te strony.  
 Aniśmy mali, ani zgoła wielcy —  
 „Zawsze to samo.“ — Odzew: „Polscy  
 Strzelcy.“

A potym wszyscy złączyli się ciasno,  
 wiodąc rozmowę szeptaną i długą.  
 Chwilę słuchali, czy w wiosce nad strugą  
 ostatnie głosy, szczekania nie zasną.  
 Chwilę patrzyli, czy w niebie nad smugą  
 ukryty miesiąc nie błysnie się jasno — —  
 A czasem jeszcze patrzyli do góry,  
 jak szły przed wiatrem wielkie, ciężkie  
 chmury.

— — — — —  
 ...Ogień przy lufie, jako łąza przy rżęsie,  
 lont u zapału — jak w lichtarzu świeca.  
 Lont — zapał. — Ognia!... Powietrze się  
 trzęsie,  
 wystrzał zabłyska, jak ostra szablica —  
 (a może trochę, jak chłopska gromnica?)

Nic to, że jedną armatą mą znaczę  
 cel, gdzieby wraże padały kartacze — —  
 i nic to, wiara, że od częstych strzałów  
 palą się spiże, jak ognie zapałów,  
 iż jak te ognie, goreją mi lica!

...Szabla przy boku, jak żona przy mężu.  
 Szabla w mej dłoni—dobra, wierna żona—  
 hej, nie zawiedziesz, dziedziczny orężu...  
 Wiem, gdzie jest moja — a gdzie ichnia  
 strona!

A to wam powiem, że i śmierć, i żona,  
 i szabla—społem od Boga znaczona!

...Sztucer i bagnet — jak jedna maszyna.  
 Sztucерem wezmę grające haubice!  
 Przykręcę bagnet—jak mutrę w fabryce—  
 gdy mnie nie stanie — zastąpię przez  
 syna. —

Nam wszystko jedno: zasługa, czy wina,  
 tam ci od kosa, my tutaj z warsztatu,  
 na klęskę świata, czy na radość świata,  
 będziemy bronili naszego szkarłatu!

\*

\*

\*

NA TYM TU DRZEWIE Z KORONĄ  
ROZDARTĄ  
LIST PRZYBIJAMY. NIECH GO CZAS  
NIE ZETRZE,  
— NIE IGRAJ, DESZCZU, Z NASZĄ  
BIAŁĄ KARTĄ  
I TY SIĘ TAKŻE NIE MOCUJ Z NIA,  
WIETRZE!

PISZEM TU WSZYSCY WIADOMOŚĆ  
OTWARTĄ  
I PODPISUJEM JEDNOMYŚLNIE,  
SPOŁEM,  
ŻEŚMY TU STALI Z ROZJAŚNIONYM  
CZOŁEM —  
I ŻE NAM ZOSTAĆ WIDZIAŁO SIĘ  
WARTO.

*Złoty kask.*

Na moim białym stole, w świetle białym,  
od księżycowych wypieszczony łask,  
w rysunku czystym, pięknym, doskonałym,  
lśni starożytny, pozłocisty kask.

Grzebień ma ostry i przepyszną lińję,  
jednako mocną pono ze wszech stron—  
i przypomina mi, że ucichł ninie  
wojennych czasów rozbukany gon.

Gdy księżyc w płynnym rozmarza się  
blasku,  
sunąc po niebie, drogą pełną gwiazd —  
widzę rycerza w moim złotym kasku,  
jak, wzięwszy twierdzą, odbywa swój wjazd.

Na łusce zbroi krew się jeszcze pali,  
jeszcze mu w dłoni drga wojenny miecz—  
prowadzi z sobą, całą w włosów fali,  
nagą kasztelu panią — swoją rzecz...

Zanim zaświsną twarde knechtów bicze,  
zanim się jęków zerwie głośny wtór,  
wypieszczę słodkie niewieście zdobycze  
na mym kobiercu, szytym z wilczych skór.

Jeśli się czyja tam cnota zabroczy,  
przez rękawice nie poczuje krwi —  
trzeba nam długich do cięciw warkoczy  
— i szalu trzeba, cierpkiego jak łyż!

Wejdzem do komnat, choćbyś się  
wzbraniała —  
za nic nam prośba i niewieści wstyd...  
Przecież nastarczysz, kasztelanko biała,  
ażeby po mnie mój żołnierz był syt—?

Gdy się upiję na prężnym twym łonie,  
jeśli w bramy zatętnił mój wróg —  
skoczymy—wiera!—do broni—i w konie!  
Ciebie, rozkoszna, rzucimy pod próg...

Hajże, jak wściekle w gonitwie upalnej  
siekących chłopów rozjudzi się wrzask!

. . . . .  
Z rekwizytorni wzięty teatralnej —  
łśni mój złocisty, tekturowy kask.

*Zła noc.*



## I.

Kochałem cię w młodości mojej dniach,  
gdyś się gorącą piersią tarzał w lasach,  
gdyś trząśł domami ludzi—w duszne dni  
niweczając stęchły spokój, siejąc strach,  
targając zamki, wrota na zawiasach!

Kochałem cię w młodości mojej dniach,  
kiedy radością szalało powietrze:  
smreki się gięły pokłosem, szumiące,  
a tyś, jak burza, szedł na smreki drżące—  
Hej! Halny wietrze!

Kochałem cię, wspaniały Tatr szaleńcze,  
boś po rycersku szedł z otwartą tarczą:  
nim-eś uderzył gorącą wichurą,  
o przyjsciu swoim już grzmiałeś za górą!  
— Zamarłych turni młody potępieńcze!...  
Jakże las szumiął pieśnią lęku starczą,  
jakże drżał, słysząc, że twe groty warczą—  
Hej! Wicherze!

Takeś gnał szalonym pędem —  
 walecznie, bitnie, radośnie, a górnie,  
 że się wzdrygały pobudzone turnie,  
 — a tyś w ostępie rum czynił, by  
mieczem.  
 — Raz-w-raz za tobą kurytarz się  
przetrze.  
 — Raz-w-raz powalisz — hań — kolosy  
rzędem.

Hej!... Halny wietrze!

Jakże tętniały twe wojenne konie!  
 Jakże huczały twoich harmat paszcze!  
 Jakże gwizdały, świstały twe bronie,  
 jakże szeroko wiewały twe płaszcze...  
 Hejże, jak biły w skłębione powietrze  
 naprężonemi cięciwami praszce!

Hej! Halny wietrze!

. . . . .  
 Kochałem cię w młodości mojej dniach.  
 Za tobą wiosny szły radosne wici,  
 stopione śniegi sływały w kaskady.

W tysiącznych tęczach, w opalowych  
skrach,

szumiące wody, niby srebrne nici,  
po granitowych goniły się dnach...  
Krokusów pąki kwitły w dywan blade,  
sznur pod regłami od kwiatów liljowiał...  
Wiosna się pięła hen! do górskich pował,  
hen — do olbrzymów, których czas nie  
zetrze,  
pod niebotyczne wirchów kawalkady —  
Hej! Halny wietrze!

## II.

Nocy dzisiejszej, kiedym słuchał wiatru,  
 dom się zamknięty—w milczenie opowił.  
 Po kurytarzach szedł wiew niezwyčajny,  
 który mi spokój serca trwogą mrowił...  
 Z oddalonego, górskiego teatru  
 skrzydła powiały. Zasłony łopocą...  
 W pokoju tłuką się dziwaczne cienie...  
 Dom wielki usnął. Dom ciszą obumarł.  
 Jakże się świece niepewnie migocą...  
 Oh,—może nocy tej ktoś chory—umarł?

Zgrzytnęły rynny. Po żelazie radłem  
 szklanem ktoś chyba posunął tajemnie.  
 Coś się stać miało — coś się stało we  
 mnie...  
 Tsss... gwizd. Ktoś bije ogromnem  
 zegadłem  
 w noc. Cyt... Łoskotem coś uderza  
 w mury,  
 coś potężnego! Czyli rwą się chmury—  
 czyli się śniegi suną w przesmyk skalny?  
 — Halny!

Opadły cugle poplątane,  
szaleńcze skrzydła uderzyły w ścianę,  
djabelskie wozy zawrotnie turkocą —  
— Halny!

Poleciał — nasepioną nocą — —  
Kiedy się cienie do domu zakradły,  
wichrzane ramię uderzyło z mocą...  
Strach. Czy nam we śnie twarze nie  
poblady?...  
poblady?...

Uderzył Halny, jak maczuga wściekła.  
Uderzył w śniegu roztopione bryzgi,  
uderzył w jęki, zawodzenia, wizgi, —  
wszyscy szatani, ze śmiercią w umizgi,  
wszyscy szatani wyrwali się z piekła!  
I—hej! Już wicher zaworami szarpie!

. . . . .

Czyście widzieli, jak w obłądnym strachu,  
niby zalane warem oczy karpie,  
na wierzch dobyte, przerażeniem szklane,  
są ludzkie oczy, strachem obłąkane?  
Czyście widzieli ludzkie oczy w męce?

Cisza. Wiatr przyległ. Waruje za  
węgłem.  
Słuchajcie:...

Brocząc krwi spieczonym ścięgiem,  
w którymś pokoju, w którymś kurytarzu,  
młoda kobieta wyciągnęła ręce.

Kaszle. O... słychać. Kaszel, jakby  
szczekał,  
jakby na piersi zły pies się nawalił —  
jakby się kłami w chore gardło wżalił —  
jakby z tej piersi skoczył—i ociekał  
śliną—i skamlał, i skakał do gardła.

W którymś pokoju, za któremiś  
drzwiami—  
młoda kobieta tej nocy umarła.

. . . . .  
Wiatr poszedł po nią w długie kurytarze—  
za oknem białe się zjawiają twarze — —  
Szumi gdzieś w dali głuchy wtór chóralny:  
— Halny.

*Paladyn zdradzony.*









Patrzajcie, jako jedwab, brokat  
   najprzedniejszy  
 rozściełam pod stopami nagiej niewolnicy,  
 jako łuskam turkusy z główki mej szablicy  
 i kładę je na dłonie z pięknych —  
   najpiękniejszej.

Zaiste, sam by sułtan ostał się oniemion,  
 widząc, jako klejnoty rozrzucam, by plewy,  
 jako motam parangon z rodowej  
   Kostrzewy  
 i zdobyczne rubiny odrywam od strzemion.

Zważcie, że jeden tylko był taki na stepie,  
 przedziwną twarz miał orlą i spojrzenie  
   rysie:  
 dziś na jego kurhanie blady miesiąc  
   skrzy się  
 i suchy wiatr dniestrowy burzanami  
   trzepie.

Zważcie, że jeden tylko równał się za  
   młodu  
 ze mną—w oręż bogaty i w wędrowne  
   grajki,



grajcie, arfy wy moje, gęźcie, teorbany,  
 pływicie, pieśni, nim przyjdą wichury  
 jesienne!

Porą wschodów różowych i krwawych  
 zachodów  
 zawždy, strażę, czuwajcie u letników  
 wnijsčia,  
 zawždy brońcie niechybnie od tajnego  
 przyjsčia  
 gości czarnych, łakomych radości mej  
 godów...

*Noc trzecia.*

Przyszli nocy wczorajszej ślepi do mnie  
 wróże —  
 słuchali, jak śpiewają Zulejka i Zelma,  
 obracali posępnie źrenic martwe bielma  
 i trwali, jako widma, wsparci na kosturze...

Choć-em prosił do stoła,—nic nie powiadali,  
 spragnionych warg nie chcieli umaczać  
 w puharze









Zasłońmy się namioty — ukryjmy  
 przepychem —  
 Hej! Do mnie! Łuki do mnie! Do mnie,  
 samopały!  
 Przypomnijcie, jak drzewiej cięciwy  
 warczały,  
 jak cięła szerpentyna młyńcami  
 i sztychem —.

Ha! Patrzcie!—Gdzie jest moja królewna-  
 dziewczyna?  
 — Uciekła! Nędzna żmija! Miłośnica  
 podła...  
 to ona mnie pieśczoły do szaleństwa  
 zwiodła.  
 To ona dziś wydała na śmierć Paladyna!...

• • • • •  
 W limanach, na porohach, pod Warną,  
 Synopą...  
 — Słyszycie? Gra szydziwa, uragliwa  
 śpiewka —  
 konam — — oto mnie w ziemię  
 najcudniejsza dziewczka  
 wdeptała swoją słabą, białą, nagą stopą...

*Testament.*

Dziś mi znać dano, że podróż mnie czeka...  
Wiem już napewno, że rychło odjadę —  
gwiazd przysposobię drogowskazy blade,  
bo podróż będzie górna i daleka...

Mam syna. Zabrać go z sobą nie mogę.  
Tak trzeba. Trudno... Nie sposób  
inaczej...

Kiedy z latami dorośnie, — zobaczy,  
dlaczego sam się wybrałem w tę drogę.

Przeżyłem złoty, dojrzały wiek męski,  
zwiedziłem lądy i morza rozległe,  
potem ściągnąłem okręty rozbiegłe  
do cichych portów, nieznających klęski.

Później zgasilem latarnie nadbrzeżne  
i rozbroiłem korsarskie fregaty,  
na których tyle-m żeglował przed laty,  
nim zdjąłem wreszcie z reji żagle śnieżne...

Bogatą schedę zostawiam ci, synu,  
 aleś ty jeszcze, prawda, taki młody,  
 że nie ocenisz szmaragdów Faszody  
 i bałtyckiego topazów bursztynu...

Niczem ci będą cuda wyzłocone,  
 hafty kobiecych rąk w bajecznym kraju,  
 tan siedmiu szalów w sandałowym gaju—  
 szalów tak wiotkich, jak tancerki one...

I niczem, stokroć niczem, będą kruże,  
 pełne upojnych, nieznanych wonności,  
 które twój ojciec za dni swej młodości  
 zebrał na wyspach, kędy kwitły róże...

Mądrość pożółkłych ksiąg zostanie niema,  
 gwałtowną ręką nie zerwiesz pieczęci  
 i nie wryjesz w młodej swej pamięci  
 imion zagasłych słońc, których już niema!

Obok tych skarbów, malcze, przejdiesz  
 z myślami swemi — moim — obojętny,  
 aż kiedyś — — może? — — rozpoznasz,  
 że jest w twej schedzie sztylet—i pochodnia!

Widzę cię jakimś spojrzeniem dalekiem  
 i dzień ten widzę, gdy o wczesnej porze  
 przyjdą po ciebie kobieta — i morze:  
 w dniu tym, mój synu, staniesz się —  
 człowiekiem.

Osado moja! Mili towarzysze!...  
 Dzisiaj nowego bierzcie kapitana.  
 Może jest jeszcze gdzieś wyspa nieznana,  
 która cię skłoni waszej starej pysze!

Sterniku! Z wszystkich, którzy mnie  
 słuchali,  
 tyś mój najlepszy przyjaciel w tej chwili:  
 my z tobą wspólnie wszak nienawidzili—  
 lecz nigdy z tobą wspólnie nie kochali.

Oto powierzam ci mojego syna.  
 Chowaj go tęgo — niechaj rośnie mały  
 tak, by mu oczy odwagą błyszczwały  
 i by w nich grała radość poganina!

Wsadź go do klatki pomiędzy wilczęta,  
 niech pozna wczesnie zęby i pazury —  
 gdyby mu trochę potargały skóry,  
 pierwszą naukę dobrze zapamięta.

Gdyby miał tchórzyc, niech skosztuje  
 batów,  
 ale rankami o rosie, o chłodzie,  
 niech sobie biega po dzikim ogrodzie —  
 niech syn mój chowa się także śród  
 kwiatów...  
 A potem — schedę moją niechaj bierze,  
 niech ją pomnaża, albo niech ją niszczy.  
 Wszystko mi jedno: z pałaców, czy  
 zgłiszczy  
 prosto w twarz życia zaśmieje się  
 szczerze.

A potem...

Wiemy obaj, co uczyni:  
 chciwy wolności, biedny, czy bogaty,  
 wyjmie ostatnie dziedziczne dukaty  
 z mojej żelaznej, grubo kutej skrzyni.

Chociażby ludzie mieli wkoło biadać,  
 rzuci swe złoto pauprom, albo żakom,  
 może kobietom? a może śpiewakom — ?  
 Rzuci poprostu, by nic nie posiadać!

Pójdzie na morze w dzień, pelen  
 światłości,

i pożegluje pełnymi żaglami  
w dal—za tem samem, za czem szli my  
sami:  
za objawieniem gorzkich łez mądrości...

*Sonet zmiądzony.*

(BALLADA).



Ów dziwny sonet powstał z mgieł  
i z nocy lazuruwej.

Miał w sobie świetność trzystu gwiazd—  
zaś podkład — granitowy.

Wykupion z literackich ceł,  
z akademickiej fugi,  
stanął na czele wielkich dzieł,  
jakby mistyczny czyniąc wjazd  
w pomników szereg długi.

W sonecie świstał zimny wiatr  
w organach słów kamiennych;  
gorzała luna nocnych wiatr  
w hyberbolach bezcennych.

Epitetowych łańcuch wzięć,  
by klejnot conajszczęszy,  
snuł się przez słów sześćdziesiąt pięć —  
w ryzach czternastu wierszy.

Za myśl sonetu cały skarb  
zapłacić by nie szkoda:

- W Sezamu rozplątany garb
  - kaskadą bije woda;
  - mienia się koła siedmiu barw
  - słowa — kameleony;
  - migocą światłocienie larw
  - i skrótów parangony.
  - Dudni cudowny, mocny rytm,
  - jak armat tren po bruku...
- 

A odwrotami świetny sztych  
kawalkadami masek pstrych  
za kopytami koni złych  
ma furję — na mundsztuku.

Płomiennych słów sześćdziesiąt pięć,  
zamkniętych w gier czternaście,  
spoczęło, jak zastygła rtęć,  
na drukarnianej kaszcie.

Wichry przybrały martwy kształt,  
zdławione w czcionek czerni,  
sztyletem prostowano szpałt  
cierpliwie na zecerni.

Metrampaż złamał sypki słup,  
ustawił go na formie —

wersalikowy, piękny grób  
 pochłonał sonet dwornie...  
 Poezji bezcielesny kwiat  
 wysztywniał w szpaltach kornie — —  
 (Metrampaż wyjął rękę z szmat,  
 maczanych w jodoformie,  
 i chorym palcem wodził wzdłuż,  
 po bajce snów eklekty,  
 wbijając ostry, cienki nóż,  
 stosownie do korekty).

— — — — —  
 W tych czasach światem targał bój,  
 na polach rżała wojna,  
 na czoła ludzkie padał znój  
 i trwoga niespokojna.  
 Wojska ciągnęły skręty swe,  
 sprawiając nowe szyki,  
 i rwały się w posepną mgłę,  
 jak wściekłe grzechotniki.  
 W godzinie tej u miasta bram  
 nurzały się szrapnele —  
 szarpały się o sławy błam  
 Anioły — Niszczyciele.  
 W szaro-perłowy mózgow miąższ  
 miotano śpiżów zlepy...  
 Przyjmował, pełznąć, ludzki wąż

stalowe bomb czerepy.  
Pełgał w wylotach krótki błysk —  
salwami dał jęczała,  
a śmierć liczyła czysty zysk  
z każdego w ogniu działa.  
Żołnierz wśród bitwy, jakby kot,  
o przestrzelonym grzbiecie —  
zwijał się, padał w zachłań błot  
i stygnął na bagnecie...

---

W godzinie tej zrobiono błąd  
w Komendzie artylerji:  
zaczęto bić daleko stąd,  
na miasto, do arterji.

Gwiżdżący granat runął w dom,  
ukrył go w dymu czerni,  
rozwalił murów czarny złom  
i upadł do zecerni.  
Z hukiem zasypał gruzem tłok  
i kaszty na platformie,  
aż prysły czcionki, niby deszcz,  
na drukarnianej formie.  
Sonetu przekunsztowny kształt  
uderzył w cztery ściany — —  
na sonet plunął krwawy trup,

artyście skłonił się do stóp  
robotnik — rozszarpany.

I chwili onej dojrzał cud,  
cud zrozumienia święty.  
Zbroczył zecera szary mózg  
rzeźbionych słów fragmenty...

W konaniu znów ożyła rtęć  
na drukarnianej kaszcie:  
cudownych słów sześćdziesiąt pięć,  
zamkniętych w ryz czternaście.

# *P r o l o g*

*napisany dla teatrów warszawskich na dzień  
3 maja 1916 r., jako w 125 rocznicę Konstytucji.*

Dziwny, zaiste, zamęt w duszy mam —  
 jakoweś burze, zaklęcia i wrzawy...

Ja, który co dnia sobie i wam  
 zmyślane kłamstwa gram — --- ---

przyniosłem dziś z rozkołysanych ulic

Warszawy  
 uczuć dań! Kwiatów woń! Pieśni ton!

Zbudziło się serce miasta, jak dzwon,  
 wydarty przemocy;

przebudziła się z długiego snu

jakowaś dawna siła;

naprzekór zdradzie i złu

Polska się przebudziła...!

Czy to sen?

Wszakże pod królewskim zamkiem

jeszcze głucho;

jeszcze na tarasach nie zakwitły drzewa —

jeszcze na wieżach tynk się sypie krucho,

ocknięty orzeł w sztandarach nie wiewa...!

A przecież dzisiaj nappełniła ucho  
wiosennych pieśni szumiąca ulewa —  
zda się, słyszałeś armat huk ognisty,  
koni tętent, szabel ostre świsty!

Rodacy!

Wielkie obchodzimy święto  
dnia, w którym łańcuch niewoli przecięto...  
wszystko nam dzisiaj mieści jedno słowo  
nie to, co wczora, nie to, co w zwyczaju,  
bo oto widzimy zorzę purpurową...  
Podając sobie wieść o Trzecim Maju!

Czy mimo kiry, w jakie los nas powił,  
mimo łańcuchy, w jakie nas okował,  
był kiedy akord, coby tak radował,  
był kiedy poryw, coby tak uzdrowił?  
Czy rozproszone na wichrach pochodnie  
zeszły się tako, nieszarpane niczym —  
czy te tysiące, które dzisiaj liczym,  
tysiące ludzi, co jednako czują,  
nie są jak cieśle, którzy most budują  
i wspólną drogę obierają zgodnie?

W on czas daleki, sławą znamienity,  
gdy bił dzwonami kościół katedralny,



jakże weselny, o jakże chóralny  
 był głos najlepszych sił Rzeczypospolitej!  
 Jakże się podniósł na najwyższe szczyty  
 serc i rozumów huragan nawalny!

Widzimy jasno, jaka jest moc trwania  
 rzeczy słonecznych. Widzimy dobitnie,  
 jako myśl zdrowa w pokolenia kwitnie  
 i jako małość w niepamięć się skłania.  
 Widzimy jasno, że choć losy zwiodły  
 całe narody w obłądne koleje,  
 iść się prawo, krzepią się nadzieje:  
 paść może słaby — zczeznać tylko podły!  
 A wszakże synom nie lża odejść ojców,  
 bo wszak nie po to szli żołnierze — chłopcy  
 na conajkrwawsze boje Europy,  
 by zaorano włość polskich ogrojców —  
 nie po to twardzi hetmanowie legji  
 w rozpacznych bojach krew przelali  
szczytnie,
 by wracające, tysięczne szeregi  
 nie odnalazły swej jedynej drogi  
 w niezapomniane, święte kraju progi,  
 w nieporównane, złote pola żytnie!

. . . . .  
 . . . . .

. . . . .  
 Bierzemy społem szpady klingę czystą  
 i przysięgamy oręża nie splamić.

O, Czci ty, Polska, bądź nam wiekuistą!

— — — — —

I ty, godzino, bądź wiecznie pamiętną,  
 gdy obracając oczy w przeszłość smętną,  
 witamy jutra godzinę świetlistą!

Wróci królewski ptak w gniazda pradawne.  
 Już blizki dziś ten dzień, już znaki rosną:  
 może w majową noc, gdy kwiaty póną,  
 może w lipcowy dzień, gdy zboża wzrosną—  
 zaszumią pióra nam —!

Nim sercom naszym cud święty się stanie,  
 tęsknoto! Wzbieraj wielkim oceanem!  
 Na krwi wylanej pomny pomazanie,  
 na twych minionych mąk pomny ofiarę,  
 powstań, narodzie! I bądź sobie panem!

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

Ha, bębny słyszę, jak biją już sławę,

• • • • •  
Słyszę w podziemiach tętnienie alarmu  
i szum ogromny pod wiosennem niebem —

A wiem, że ziemia obdarzy nas chlebem  
i że nie zbraknie dla synów jej karmu  
i że pokrzepim odrodzone ciała,  
w których zamieszka Polska zmar-  
twychwstała!

— — — — —  
Na krakowskim barbakanie  
surmy grają!

Na warszawskim świętym Janie  
surmy grają!

Srebrne gardła wemyjemy  
z niemot, z chrypot długiej drzemy!

Pokumamy się z srebrnemi  
słodem, miodem naszej ziemi! — — —

Polsko! Słysz!

Na twym kurhanie

Orły wstają!!!



## SPIS RZECZY.

<i>WSTĘP</i> . . . . .	11
<i>MŁODOŚĆ</i>	
I. . . . .	15
II. . . . .	17
III. . . . .	18
IV. . . . .	19
V. . . . .	20
VI. . . . .	21
<i>O ŚWICIE</i>	
I. . . . .	22
II. . . . .	24
<i>DOLINA ŻYCIA</i>	
I W Księżycu . . . . .	26
II. Poeta i mgła . . . . .	28
III. Tęsknota . . . . .	30
<i>WIEŚĆ</i> . . . . .	32
<i>LISTY</i>	
I. . . . .	37
II. . . . .	40
III. . . . .	42
<i>SONETY</i>	
Wolność (7) . . . . .	47
„Carmen” Zuloagi . . . . .	54
W grocie . . . . .	55
Zmierzch . . . . .	56

Wojewódzka Biblioteka  
Publiczna w Opolu

**CM KEK 319665**



000-319665-00-0